

Gortat Grzegorz

Myrddin i Krak

Z „*Science Fiction*” nr 14 – kwiecień 2002

Świtało dopiero, kiedy Mojsław, opierając mocno stopy na szczeblach solidnej drabiny i przytrzymując się zaostrzonych pali ostrokołu, wysunął głowę ponad ogrodzenie. Dokładnie obejrzał porośnięte krzakami brzegi rzeki i wybiegł wzrokiem dalej. Aż po zamglony horyzont ciągnęła się z lekka pofałdowana równina, pokryta ciemnymi plamami lasów, poprzecinana krętymi nitkami wód. Nigdzie żywego ducha, tylko znad skraju Sejnowej Kniei szedł w górę równy słup dymu: puszczańscy szykowali jadło nad ogniskiem.

Wychylił się i skrzył głowę w lewo, żeby lepiej widzieć wydeptaną w trawie ścieżkę, która wiodła brzegiem rzeki, prosto do oddalonej o dobre trzysta kroków Smoczej Jamy. Z wysokości ostrokołu miał widok na szczyt wapiennej skały wieńczącej wejście do pieczary i przesłaniające je skałki. Nagle zawiął wiatr i nadrzeczne krzaki zafalowały, jakby ktoś się skradał. Mojsław skulił się mimo woli. Zły na siebie, splunął trzy razy przez lewe ramię i huknął na strażnika, stojącego na drewnianej platformie wzniesionej przy zachodniej części ostrokołu:

- Nie spałeś aby?

- Skądże, panie! - zaprotestował gwałtownie strażnik, potrząsając długimi płowymi włosami. - Jak przykazaliście, mam baczenie na Jamę i całą okolicę. - Woj rozejrzał się ostrożnie i dopowiedział ściszym głosem: - Tej nocy też się nie pokazał...

- Chwała Swarożycowi - mruknął do siebie Mojsław. Podnosząc głos, przykazał strażnikowi: - Nie schodź jeszcze. Przyślę zaraz Lutyca, żeby cię zmienił.

Przerwał mu hałas dochodzący od bramy. Poznał zwalistą sylwetkę Zyndrama i rudą czuprynę Głębzyca: szli spiesznym krokiem do dworzyszczka, zajęci głośną rozmową, jakby wiedli ze sobą spór. W chwilę potem przekroczyli drewniane wrota i zniknęli we wnętrzu zbitej z grubych bierwion budowli. Osłaniając oczy Mojsław spojrział w prawo: słońce wychynęło już nad skraj Sejnowej Kniei. Zbliżała się pora narady drużynników, którą na dzisiaj zwołał.

Zanim zszedł z drabiny, zerknął przez prawe ramię na samotny dąb, rosnący przy bramie wiodącej do podgrodzia. Rozłożyste drzewo otaczała solidna osłona z pali wysokich na dwóch mężów, skutecznie broniąca dostępu niepowołanym osobom; wiekowy dąb porastała jemioła, którą przybyły z Brytanii mag Myrddin pokropił własną krwią, kiedy wymawiał cudzoziemskie zaklęcia. Mojsław wzdrygnął się na tamto wspomnienie. Uplłynęły już dobre dwa tygodnie i ze starucha pewno dawno zrobili pieczone, ale ostrożności nigdy za wiele. Licho nie śpi! Przeklęty zamorski mag tak pomieszał zaklęcia, że nie wiadomo, co się jeszcze może z tego wykluć. Tak jakby historia ze smokiem to było jeszcze mało!

Ledwo Mojsław stanął na ziemi, rozsuptał wiązanie kaftana pod szyją i wyjął zawieszony na rzemieniu kościany amulet z wrytym imieniem Swarożycy. Przesuwając w palcach wypolerowaną kość, poczuł jak zawsze przyptyw sił. Na Swarożycy! Mimo swoich czterdziestu wiosen wciąż miał krzepę jak niejeden młodzian! Ruszył dziarsko w stronę dworzyszczka. Zdążył właśnie obejść ogrodzony dąb, kiedy z bramy podgrodzia wypadł ciemnosiwym wieprz, a za nim świniarz Chościsko. Knur na widok Mojsława jakby się zawahał; zaraz jednak, podrygując śmiesznie chudym zadem, pognał dalej. Zmierzał prosto ku drzewu. Mojsław zaklął i zagroził mu drogę. Knur sapnął, chrząknął groźnie. Mojsław widział wpatrzony w siebie ślepie i raptem zdjął go lęk, zupełnie jak tamtego wieczoru, kiedy Myrddin, bełkocząc obce słowa, przyglądał mu się groźnie spod siwych brwi. Książę przemógł strach, dobył miecza i zamierzył się do uderzenia. Knur niezdarnie odskoczył. W tym momencie Chościsko dopadł bydlę od tyłu, zarzucił mu na łeb pętlę przymocowaną do długiego drağa. Zacisnął pętlę i pociągnął tak mocno, że knur zwałił się na ziemię z żalonym kwikiem

Mojsław miał już ciąć mieczem przez falujący brzuch zwierzęcia, ale rozmyślił się w ostatniej chwili. Stał zbyt blisko dębu i kto wie, co mogłoby się stać, gdyby na jemiołę padła choć kropla świńskiej juchy. Przetarł rękawem spocone czoło. Przeklęty Myrddin i te jego cudzoziemskie czary...

- Co ci mówiłem? - ryknął, obracając całą złość przeciwko świniarzowi. - Będzie już dwa tygodnie, jak kazałem ci zarznąć szarego świniaka!

Chościsko cofnął się pół kroku.

- Kiedy wieprzek chudy był niemożliwie - wyjął przestraszony. - Myślałem podtuczyć trochę bydłę i dopiero wziąć pod nóż. - Sieknął knura kijem po zapadłym boku. - Choć po prawdzie żadna chyba z niego będzie pociecha. Dziwny jakiś. Prawie nie zje, jakby w świńskim jadłe nie gustował.

- Chory pewnie - burknął gderliwie Mojsław. Stanął bokiem, by nie musieć patrzeć bydłciu w oczy. - Tym bardziej trzeba go odłączyć od stada, bo jeszcze zarazę jaką rozniesie. Spraw się z nim do wieczora, słyszysz? A ściervo głęboko zakop, żeby psy nie wyniuchały.

- Jak każecie, panie - potaknął Chościsko, spoglądając z żalem na kościsty zadek zwierzęcia. Niewiele da się wykroić na piecyste.

Śmignął świniaka kijem przez grzbiet i szarpnął za drag, pociągając zwierzę za sobą. Knur ruszył z charkotem, zapierając się na chudych nogach.

Mojsław odczekał, aż Chościsko przepędzi świnię przez bramę do podgrodzia, po czym skierował się do dworu. W sieni przywołał Lutycza i kazał mu sposobić się do objęcia straży na wałach. Kiedy wszedł do pałacowej izby drużynników, gwar rozmów przycichł i głowy obecnych zwróciły się w jego stronę. Zyndram zajmował miejsce u szczytu drewnianej ławy, strojny w czarny wełniany płaszcz, spięty u szyi złotą zapinką. Odkąd zaczął jeździć z poselstwem do Germanów, uważał się za ważniejszego od innych i lubił to podkreślać strojem oraz zachowaniem. Mojsław, tłumiąc niechęć, pozdrowił go skinieniem głowy. Zyndram odznaczał się niepospolitą krzepą, i głupotą było by nie pozyskać go do rozprawy z bestią.

- Spocznijcie, książę! - zawołał Pyrzyczko, usłużnie podsuwając Mojsławowi zydel. Mojsław zajął miejsce u szczytu ławy, naprzeciw Zyndrama, mając po jednej stronie Dziadoszyna, po drugiej Siemomysła. Pyrzyczko napełnił mu kielich miodem i sam zasiadł spieszenie obok Głubczyca i Siewierza. Mojsław upił miodu a sześciu wojów poszło ochoczo w jego ślady.

- Wybrałem was nie tylko dla wojennych zasług, ale bo i głowy macie tęgie - zaczął, spoglądając po kolei na każdego z sześciu drużynników. - Mądrej rady dziś trzeba, i to szybko.

- Prawda - odezwał się z namysłem Dziadoszyn. Był najstarszy wiekiem i wszyscy oczekiwali, że przemówi pierwszy.

- Skoro smok dał radę pięciu tęgim chłopom, zwykła siła na niego nie wystarczy. Winniśmy się raczej imać innego sposobu.

- W tym cała rzecz - włączył się młodzian Siemomysł, zawsze skory do zabierania głosu. - Bo niby kto słyszał u nas wcześniej o smokach? Ostatniego widziano tu chyba jeszcze za Lędzienia. W całym grodzie nie znajdziesz takiego, który znał by się na smoczycy zwyczajach. Może w innych stronach.

Wszyscy spojrzeli na Zyndrama. Z racji poselskich podróży zjeździł sporo obcych krain, poznał cudzoziemskie obyczaje i opowieści. Zyndram sięgnął niespiesznym ruchem do woreczka u pasa, wyjął glinianą flaszkę z germańskim napitkiem i ułną z niej sporo do kielicha. Opróżnił kielich jednym haustem.

- A jakże - zaczął gardłowo, przecierając usta skrajem płaszcza - słyszałem o smokach w Germanii, słyszałem i wśród ludów Północy. - Wzruszył ramionami. - Ale nie spotkałem nikogo, kto smoka sam widział, albo znał kogoś, kto bestię na własne oczy oglądał.

- I tyle cudzoziemskich mądrości - powiedział Pyrzyczko donośnym szeptem, spoglądając zawistnie na glinianą flaszkę.

Zyndram łypnął na niego groźnie, zmilczał jednak złośliwość. Podrapał się po gęstej brodzie, która wyróżniała go od reszty wojów i podjął dalej:

- Mówią, że żyją dwa rodzaje bestii: osiadłe i wędrowne. Te pierwsze są bez porównania groźniejsze, bo zakładają gniazda i przez rok czy dwa potrafią całą okolicę do cna spustoszyć. Wędrowne z kolei zatrzymują się na krótko, tyle by brzuchy napełnić i odpocząć przed dalszą drogą.

Siewierz przerwał mu z ożywieniem:

- Chcesz powiedzieć, że bestia należy do tych drugich?

- Tak mi się widzi. Pojawiała się pierwszy raz ledwo dwie niedziele temu, a od trzech dni więcej się nie pokazała. Może się wyniosła.

- Albo liże rany - odezwał się Mojsław. - Smok ubił pięciu chłopów, ale i sam musiał stracić niemało juchy. Powiadają, że pewnie się tylko przyczaił. Jak wydobrzeje, znowu wypęłnie z nory.

- Może i tak być - przyznał Zyndram bez przekonania. Potoczył wzrokiem po obecnych: - Co byście radzili?

Mojsław stuknął pięścią w ławę.

- Trzeba bestię dopaść w legowisku, zanim odzyska siły.

Pyrzyczko przytaknął skwapliwie:

- Prawda, jeden śmiałek podstępem więcej dokona niż dziesięciu w otwartym polu.

- Chętnyś pójść pierwszy? - mruknął zjadliwie Głubczyc. Pyrzyczko spojrział na niego chmurnie, nie odpowiedział jednak na zaczepkę. Reszta spuściła głowy. Nawet Zyndram nieskory był do odpowiedzi na wezwanie. Dziadoszyn pierwszy przerwał milczenie:

- Jedno jest pewne - podjął, drapiąc się po siwej głowie. - Jeśli po ostatniej potyczce smok się nie wyniósł, to znowu zacznie szkodzić. Taka już jego natura. Jeść przecież musi...

- Nie ma innego sposobu na pozbycie się potwora, jak zadać mu śmierć - zawyrokował Mojsław.

- Książę prawdę mówi - włączył się Siewierz. - Bestia trzebi bydło i pola niszczy. A i białki nie są bezpieczne. - Zerknął na Pyrzyczkę i dopowiedział: - Porwał Pyrzyczynę, połakomi się i na inne. Skoro raz posmakował niewieściego mięsa, spróbuje ponownie.

Wszyscy spojrzeli na Pyrzyczkę. Ten spuścił głowę. Utrata żony mocno go przygnębiła. Siemomysł szturchnął łokciem Głubczycy i szepnął mu coś do ucha. Zaraz potem powiedział głośno do zebranych, robiąc poważną minę:

- A mnie się widzi, że Pyrzyczyna uciekła z tym celtyckim magiem. Przepadła równo wtedy, kiedy i on zniknął.

- Głupis! - skarcił go ostro Dziadoszyn. - Myrddin popłynął w dół rzeki do morza, żeby szukać jantaru. Żadna to tajemnica. Książę sam go wyprawił i dał mu syna za przewodnika.

Mojsław poruszył się niespokojnie na zydłu. Myślał gorączkowo, co rzec, by nie zdradzić się nieopatrznie słowem. Naraz zdało mu się, że słyszy ściszony głos Rokityny, jakby żona stała tuż obok i szeptała mu prosto do ucha. Zaczął mówić składnie:

- Prawda, że Myrddin zamierzał dłużej zabawić, ale niespodziewanie rozmyślił się. Z układu gwiazd ponoć odczytał, że musi bez zwłoki ruszać. Przykazałem Krakowi, by odprowadził gościa do ostoi Łędziców i powierzył go ich opiece. Łędzice powiodą go dalej.

- Krak to dzielny młodzian, da sobie radę - podchwycił Dziadoszyn. - Po ojcu przejął męstwo, po matce urodę i dobre serce. - Oczy mu zwilgotniały. - Szkoda, że biedna Dubrawa nie doczekała. Cieszyłaby się, oj, cieszyła z takiego syna!

Mojsław pobladł na twarzy. Chwycił kielich z miodem i jednym łykiem dopił jego zawartość. Zaszumiło mu w głowie.

- Świat z białką nielekki, bez białki jeszcze moźolniejszy - zahuczał Zyndram. Otworzył gliniaczek, przyłożył go do ust i przechylił głowę do tyłu. Łyknął trzy razy. Krew nabiegła mu dopoliczków. Postawił naczynie obok pustego kielicha.

- Dziadoszyn prawdę rzecze - przemówił chrypliwie. - Pyrzyczyna nie mogła uciec z Myrddinem, to pewne. Stary piec kiepsko grzeje, a prawdziwego chłopa i czary nie zastąpią. Gdzie indziej poszła się ogrzać.

Pyrzyczko poderwał się od ławy.

- Co ty pleciesz? - odezwał się naszożony. - Smok ją porwał, wszyscy to wiedzą!

- Mówię, co widziałem. Kiedym wracał tydzień temu od Wioletów, minąłem karawanę obodrzyckiego kupca. Pyrzyczyna siedziała w tyle wozu, wystrojona w zausznice i kabłączki jak pani jaka. A i owszem, smok z tego Obodrzyca musi być niegorszy, bo wasza białka rozogniona była jak panna w sobótkową noc.

- Łżesz! - zapisał Pyrzyczko. Oddychał teraz szybko, ślina wyszła mu na usta.

Zyndram rozparł się na zydłu.

- Ja tam wcale się jej nie dziwię - mruknął i wydał wargi. - Lepszy giętki drag niż oklapły badyl.

Pyrzyczko z rykiem chwycił za głównię miecza.

Siewierz spróbował go powstrzymać, ale Pyrzyczko odepchnął go z taką siłą, że drużynnik zwałił się plecami na ławę; zamachnął się przy tym ręką tak niefortunnie, że zawadził o amulet Mojsława i zerwał mu go z szyi. Mojsław dał nura pod ławę i odszukał amulet. Oczy zaszły mu mgłą: kościany talizman pękł dokładnie pośrodku, w miejscu, gdzie wryty był znak Swarożycy. Książę podniósł się na chwiejnych nogach, zaciskając w dłoni przepołowiony amulet. Pyrzyczko siedział na ziemi, oparty plecami o krzyżak ławy; pojękując przyciskał rękę do krwawiącej rany w lewym boku. Zyndram stał wsparty na mieczu i przyglądał mu się tępym wzrokiem.

- Dobrowe wojsko, nie ma co! - prychnął Dziadoszyn. - Pewnie, łatwiej sobie nawzajem łby pucinać, niż smokowi upuścić juchy.

- Ciąg się dla białki! - zawtórował mu gniewnie Siewierz, masując obolałe ramię. - Ręka szybka, rozum ospały. Przy takiej drużynie trzeba nam zdać się tylko na Swarożycy, bo kto inny przyjdzie nam z pomocą w potrzebie?

Mojsław odezwał się głucho, macając puste miejsce pod szyją:

- Prośmy Swarożycy, by się nie odwrócił...

Głębzcyc nic nie mówiąc chwycił naczynie Zyndrama, wylał jego zawartość na zwiniętą lnianą serwetę i tak sporządzony opatrunek przyłożył Pырzyczce do rany. Wciąż klęcząc przy rannym, zawyrokował ugodowym tonem:

- Nie wiem, co widział Zyndram, ale nikt nie zaprzeczy, że Pырzyczyna przepadła. Myślę sobie tak: smok to smok i żartów z nim nie ma. Trzeba przykazać białkom, żeby nie wypuszczały się same za wały podgrodzia.

* * *

Boguwola przekroczyła bramę podgrodzia, przeszła traktem do pierwszych zabudowań rybackiej osady i skrzyła przed nimi w lewo, kierując się ku rzece. Postawiła koszyk na ziemi, zsunęła się ostrożnie po niewysokiej skarpie, chwyciła koszyk i zapuściła się między brzozy młodnik. Grzyby obrodziły nad podziw i koszyk szybko się wypełniał. Zatrzymała się i spojrzała w dół rzeki: od Smoczej Jamy wciąż dzieliła ją bezpieczna odległość. Rozejrzawszy się uważnie, weszła między skałki. Owiał ją chłód. Posuwała się teraz powoli, nie przestając rozglądać się czujnie. Zbliżając się do Babiej Pieczary przyspieszyła kroku. Mijała właśnie przestronięty krzakami wylot jaskini, kiedy coś wychyło zza krzaków, pochwyciło ją błyskawicznie za gieżło i wciągnęło do środka. Ostre gałązki cięły ją po twarzy. Krzyknęła krótko..

- Nie chciałem cię wystraszyć, wybacz - usłyszała dochodzące z boku mamrotanie. Chociaż minęły dwa tygodnie, ludzka mowa wciąż przychodziła Krakowi z trudem.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś - odparła, mimo woli ścisząc głos. Potarła dłonią bolące miejsce na policzku. - Witki po jagodach mnie drapnęły.

Wyciągnęła rękę i odszukała go w ciemności. Poczowała łuskowatą skórę i ostry grzebień na grzbiecie. Nagle natrafiła palcami na coś lepkiego. Syknął i cofnął się instynktownie.

- Paskudna rana, wciąż się paprze - powiedziała miękko. - Przyniosłam świeżą maść, zaraz cię opatrzę.

Przykucnęła, wymacała koszyk i odszukała schowane pod grzybami smolne łuczywo. Z woreczka przy pasie wyjęła krzesiwo, krzemień i garść hubki. Zaczęła uderzać krzesiwem o kamień, aż od iskier zajęła się hubka. Rozdmuchała żar i zbliżyła do niego łuczywo. Smolna drzazga zapłonęła z cichym trzaskiem.

Odwrocił szybko głowę, uciekając przed jej wzrokiem. Leżał na brzuchu, wsparty na przednich łapach, z ogonem wyciągniętym wzdłuż prawego boku, ciemnożółty brzuch poruszał się faliste przy każdym oddechu. Łuski na skórze połyskiwały złociście w świetle ognia, chwiejący się grzebień na grzbiecie barwił się na czerwono. Wetknęła pochodnię w skalną szczelinę i wyjęła z koszyka gliniany garnuszek z maścią. Obejrzała zasklepione skaleczenia od grotów strzał na lewym boku, po czym zaczęła rozprowadzać maść wzdłuż brzegów szerokiej rany u podstawy smoczej szyi. Na koniec obłożyła ranę dużymi liśćmi babki i przewiązała opatrunek szeroką chustą.

- Trudno się goi - powtórzyła. - Liście powinny ściągnąć gorączkę i rana szybciej się zamknie.

- Rany od topora zawsze paskudnie się jątrzą - wychrypiał, nie odwracając głowy.

Rozejrzała się po skalistym wnętrzu. Było niewysokie, ciasne, przeciwległy wylot tonął w ciemnościach, zapach wilgoci mieszał się ze smoczym odorem. Rosnące na zewnątrz krzaki i pnącza skutecznie maskowały wejście. Przesunęła dłonią po jego głowie, aż po zakrzywione kły wystające z pyska. Zastrzygł nerwowo uszami, głowy jednak nie cofnął.

- Nie spodziewałam się tutaj cię zastać.

- Tym lepiej. Skoro ty się nie domyśliłaś, inni też może od razu nie trafią. - Rozkastał się, odwykły od ludzkiej mowy. - Odkryłem w jamie przejście i doszedłem aż tutaj. Bałem się, że nie przetrzymam kolejnej napaści. Ojciec trzyma strażę na wałach dzień i noc, nie miałem kiedy wykraść się z jamy i poszukać schronienia gdzie indziej. Jama przestała być bezpieczna,

- Wiesz, jak ją teraz nazywają? Smoczą Jamą.

Potrząsnął głową z rezygnacją. Ojciec z macochą wszystko starannie obmyślili.

- Zwołał dziś na rano naczelników drużyn, żeby radzić nad sposobem pozbycia się smoka.

- Dziadoszyna też wezwał?

- A jakże, po mojego ojca też posłał. Wypytam go o wszystko, jak wróci do domu. Ale coś mi się widzi, że po tym, jak ubiłeś Mojsławowi pięciu wojów, nie będzie mu łatwo zebrać śmiałków do kolejnej rozprawy ze smokiem. Wieść poszła na całą okolicę, że oszczepy pękały na twoim pancerzu, a kto podszedł za blisko, palił się żywcem od smoczego oddechu.

- Wierutne bzdury! Pocięli mnie mieczami jak paśnego świniaka! Gdybym sam miał miecz i potrafił go utrzymać, to więcej bym zdziałał, niż machając ogonem i strasząc ogniem.

- Jesteś teraz smokiem. Przerażasz ludzi samym wyglądem.

- To akurat żadna pociecha - mruknął markotnie. - Dowiedziałas się czegoś nowego o Myrddinie?
- Rozpytywałam, gdzie się dało, ale nikt nic nie wie. Wszyscy przyjmują na wiarę to, co Mojsław rozpowiada: że Myrddin niespodziewanie postanowił wyruszyć w dalszą drogę i że księżę dał mu ciebie za przewodnika.

- Dobry sposób na wyjaśnienie mojego nagłego zniknięcia.

- Boję się, że Myrddinowi przytrafiło się coś podobnego. Mojsław uznał najwidoczniej, że nie potrzebuje już jego czarów i że powinien się go pozbyć. Choć po prawdzie nie potrafię sobie wyobrazić, jak miałbyś teraz nakłonić celtyckiego maga do przyjścia ci z pomocą...

Gdybym tylko mógł dostać się do świętego dębu! Obyłbym się bez Myrddina i jego czarów. Ale jak tam dojść? Woje Mojsława całe dni i noce stróżują na wałach.

Sapnął głośno, poruszył ogonem i zmieniając ułożenie ciała, przewrócił się ciężko na prawy bok. Kurz poszedł w górę pod jego ciężarem.

- Chyba wiem, jak ci pomóc - oznajmiła z powagą. Odwrócił szybko łeb w jej stronę, zapominając na chwilę o swoim wyglądzie.

- Mów! - przykazał.

- Obmyśliłam sprytny sposób. I znalazłam sprzymierzeńca który pomoże nam cały zamiar przeprowadzić. - Przynęła się bliżej, aż owiał ją smród siarki, dobywający się z nozdrzy Kraka. - Posłuchaj uważnie, żeby niczego później nie przeoczyć.

Kiedy niedługo potem wracała z koszem pełnym grzybów do ostoi, zaraz za bramą podgrodzia napotkała drużynników Mojsława. Powracali z porannej narady. Dziadoszyn przywitał córkę nieobecnym spojrzeniem i minął ją z mocno zafrasowaną miną. Tuż za nim szli Głubczyc i Siewierz, podtrzymując ślaniającego się na nogach Pyrzyczkę.

* * *

Mojsław wspinał się niespiesznie po drewnianych schodach prowadzących do książęcych izb, miętoląc w spoconej dłoni potrzaskany amulet. Pokonał ostatni stopień i znalazł się na niskim, oświetlonym pochodniami korytarzu. Zatrzymał się, schował amulet do woreczka, woreczek zawiesił na szyi. Poprawił pas z mieczem i przyspieszając kroku ruszył ku komnacie Rokityny. Zapukał i czekał. Nic się nie wydarzyło. Zastukał ponownie, przez chwilę nasłuchiwał, po czym ostrożnie otworzył drzwi i przyoblekając twarz w pogodną minę, wszedł do środka.

Izba żony była pusta. W kącie przy oknie stało kołowrotek z nawiniętą kądzielą, pokrytą kilkudniowym kurzem. Nie dziwota, mruknął do siebie. Rokityna nigdy nie garnęła się do niewieścich zajęć. Rękę miała bardziej nawykłą do łuku i miecza niż do tkactwa, nieraz nić jej się rwała pod niezgrabnymi palcami. Z westchnieniem ulgi zamknął drzwi, przeszedł korytarzem do sypialnej komnaty, którą sam zajmował, i pewnym krokiem wszedł do środka. Zmieszany przystanął zaraz za progiem. Rokityna stała przy oknie, zwrócona do niego plecami. Nie odwróciła się na jego nadejście. Miała na sobie jasnoczerwoną suknię z lnu, którą zakładała przy uroczystych okazjach, ściągniętą w talii białym pasem ze starannie wygarbowanej niedźwiedziej skóry, u dołu obszytą zajęczym futerkiem. Długie włosy rozpuściła, głowę przyozdobiła plecioną opaską.

- Coście uradzili? - spytała, nie odwracając się. Drgnął zaskoczony. Szybko jednak pozbiierał myśli i odparł pewnym głosem:

- Drużynnicy dobiorą sobie dwunastu wojów i podejmiemy go z samego rana. Zasadzimy się przed Smoczą Jamą, wykurzymy go ogniem i będziemy czekali w pogotowiu.

Pyrzyczko też się stawi? - spytała.

Odwróciła się niespiesznie i stanęła twarzą do Mojsława. Przyglądała mu się przez chwilę spod zmrużonych powiek. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, czarne łuki brwi odcinały się od jasnego czoła, pełne usta poruszały się nieznacznie, jakby wypowiadały zaklęcie. Wzburzenie dodawało jej jeszcze urody. Wreszcie potrząsnęła gwałtownie głową, aż zadźwięczały srebrne kabłączki zawieszzone na opasce. Nie czekając na odpowiedź, pchnęła nogą drewnianą skrzynię ustawioną pod ścianą, gwałtownym szarpnięciem dobyła noża ze skórzanej pochewki u pasa i przykucnęła.

Mojsław przyglądał się osłupiały, jak Rokityna wsuwa ostrze w szparę w podłodze i bezszelestnie podważa kawałek deski, odsłaniając otwór wielkości męskiej pięści. Nie musiał nawet nadstawiać ucha, żeby usłyszeć odgłosy dochodzące ze znajdującej się tuż pod nim izby drużynników: służebne głośno złorzeczając doprowadzały pomieszczenie do porządku, posypując piaskiem brudną od krwi podłogę i szorując deski.

- Dawno to odkryłaś? - fuknął. Schylił się, by umocować na powrót deskę, po czym jak najciszej przysunął skrzynię na miejsce. - Czemu myszkujesz w mojej komnacie? - spytał podniesionym tonem, starając się, by zabrzmiało to groźnie.

Tupnęła nogą, aż podniósł się kurz.

- Jeszcze pytasz? Łżesz w żywe oczy i mam ci wierzyć? Dobrze słyszałam, jakeście radzili! Dzielnych masz wojów, a jakże! Rwą się do boju, że mało sobie łbów nie pourywali. Ale od wyprawy do Smoczej Jamy każdy jak mógł się wymawiał.

- Zrobią, co im przykażę! Pójdziemy rano, bez Pyrzyczki. I tak na wiele by się nie zdał.

Wzięła się pod boki i wybuchnęła śmiechem, odrzucając do tyłu głowę. Pod napiętą suknią zarysowały się jędrne piersi.

- Myślisz, że z tą zgrają nieudaczników cokolwiek zdziałasz? Zyndram spije się i spadnie z konia, Dziadoszyna połamie reumatyzm, a Siewierz jak zwykle obeżre się wieczorem słoniny i zmoże go niestrawność. Wspaniała drużyna godna księcia, nie ma co...

Nagle głos jej się załamał. Opadła ciężko na skrzynię i niespodziewanie zaniosta się szlochem.

- To już koniec - łkała - czuję to. Wiedziałam, że Myrddin sprowadzi na nas nieszczęście. Mówiłam ci, żeby nie ufać cudzoziemskim czarom...

Zbliżył się i pogładził nieśmiało po włosach. Zaszlochała głośniejsze, ale nie odsunęła się.

- Boję się - mamrotała przez łzy. - Co będzie, jeśli Krak znajdzie sposób na uwolnienie się od czarów?

- Strażnicy dzień i noc mają baczenie na wejście do Jamy, nie uda mu się wyjść niepostrzeżenie - jał przekonywać. - Co by zresztą począł? Do kogo się zwróci? Wreszcie, kto go rozpozna pod tą postacią? Wszyscy są przekonani, że przydzieliłem go Myrddinowi za przewodnika. A nad rzeką wiele może się zdarzyć, im dalej z biegiem, tym niebezpieczniej. Ludzie łatwo uwierzą, że zginął.

Nie o siebie się lękam, dobrze wiesz - wychlipała. Otarła rękawem łzy i podnosząc na niego zaczerwienione oczy, położyła rękę na brzuchu. Pod suknią odznaczała się już wyraźna wypukłość. - Obiecałam ci syna. Jeden Swarżyc wie, jak bardzo pragnę dopełnić obietnicy. Ale knowania Kraka mogą wszystko zniweczyć. Zapomniałeś o przestrodze, którą Swarżyc zesłał mi we śnie? Może wolisz nie pamiętać? - zakończyła łamiącym się głosem.

Mojsław poczuł raptem łomotanie w głowie, tak jakby stukot setek końskich kopyt odbijał się echem w obolałej czaszce. Zatoczył się na ścianę i ścisnął palcami skronie. Oddychał szybko. A jakże, pamiętał! Jak mógłby zapomnieć noc sprzed pięciu miesięcy, kiedy krzyk Rokityny poderwał go z łoża. W samej koszuli, chwytając w biegu miecz, w drugiej ręce ściskając zabraną z korytarza pochodnię, wpadł do komnaty żony. Ukryta w kącie, skuliła się na jego widok, najwyraźniej go nie poznawała. Osłaniając się ramionami, wykrzykiwała głośno zaklęcia dla odpędzenia złych duchów.

Przywołał służące, kazał zrobić chorej zimne okłady i podać wywar z bzu. Wreszcie wróciła jej przytomność. Kazała odprawić służbę i zostali sami. Oglądając się trwożliwie na boki, wsparta na poduszkach, opowiedziała mu sen, który wprowadził ją w taki stan ducha.

Ukazał jej się Swarżyc, bardziej jeszcze srogi, niż go przedstawiają, wsparty na dwóch mieczach-piorunach. Trzykrotnie obszedł jej łożo, kreśląc w powietrzu za ich pomocą magiczne znaki. W końcu uderzył mieczem o miecz, aż posypały się iskry. Komnata zajęła się zimnym ogniem, a z tęczy płomieni jęły wyłaniać się postacie i ruchome obrazy, z których mogła odczytać, co czeka ją w niedalekiej przyszłości.

Rokityna, która od dawna uchodziła za bezpłodną, we śnie ujrzała siebie brzemienną. Radość nie trwała jednak długo. Ledwo urodziła Mojsławowi upragnionego syna, do komnaty zakradł się nocą Krak, pierworodny syn księcia i zmarłej przed laty Dubrawy. Porwał śpiące niemowlę, rozplątał mieczem, a ciało wrzucił do rzeki, by w ten sposób usunąć konkurenta do ojcowskiego tronu. Rzeka wezbrała, czerwona od krwi woda wdarła się na podgrodzie, potem płynąc niepowstrzymanie zalała gród, zamieniając księżęcą ostoję w głębokie rozlewisko, w którym pływały trupy ludzi i ścierwa utopionych zwierząt.

Zły sen nappełnił oboje lękiem. Od tamtej nocy Mojsław chodził zatroskany, podejrzliwie zerkał na syna. Zląkł się przepowiedni. Przeraził się jeszcze bardziej, kiedy wkrótce stało się wiadome, że pierwsza część snu zaczyna się spełniać: Rokityna była w błogosławionym stanie

- Wyślę Kraka z Zyndramem do Germanów - oznajmił pewnego ranka żonie. - Albo wyprawię go z poselstwem do Jaćwingów. Wszystko jedno, byle dalej od dworu.

Rokityna spojrzała na niego smutnymi oczami.

- Co to da? Czy wróci po trzech, dziesięciu czy piętnastu niedzielach, niczego to nie zmieni. Trzeba innej rady, by go powstrzymać.

Co masz na myśli?

- Sam wiesz. - Jęknęła cicho i położyła rękę na brzuchu. - Nie o mnie tu chodzi. Nawet nie o dziecko. Pomyśl, co stanie się z księstwem. Krak nie poprzestanie na zabiciu przyrodniego brata. Wystąpi przeciwko tobie. A wiesz, co to oznacza. Ziemia spłynie krwią, ogień strawi osady i pola, książęcy gród zamieni się w ruinę. Nie tego chyba chcesz? Musisz wybierać.

Mojsław przypomniał sobie ciało ojca, posiekane mieczami drużynników rodzzonego brata. Pomyślał o trudach wojennych wypraw, które potem samemu przyszło mu toczyć, i o trupach wojów, które wytyczały nowe granice państwa, z roku na rok rosnącego w siłę i zasobność. Przywołał wspomnienie kupieckich karawan, jakie ściągały od lat z dalekich krajów, skuszone bogactwem Mojsławowego księstwa. Przed oczami stanął mu obraz obcych poselstw, przybywających ochoczo z cennymi darami, żądne poznać sławnego księcia i zapewnić go o przyjaźni swych władców. Wszystko to miały skazać na zatracenie? Co było większą zbrodnią: dopuścić do zagłady księstwa, czy odebrać życie wiarołomnemu synowi, który spiskuje przeciwko ojcu?

Nagle powróciły jak żywe wspomnienia Dubrawy i małego Kraka sprzed lat. Ukradkowe spojrzenia, jakie wymieniała z synem, tajemnicze szeptanie malcowi do ucha, opowieści, które żona urywała w pół zdania wraz z nadejściem Mojsława. Wtedy nie zwracał na to należytej uwagi, lecz dzisiaj wszystkie te znaki nabierały nowego znaczenia. A jeśli, rozmyślał, Dubrawa nie wybaczyła mu nigdy, że porwał ją i zniewolił do zamążpójścia? Może wpajała synowi nienawiść do ojca, by w stosownej chwili jego rękami dokonać zemsty na Mojsławie?

Ślepy był chyba, że niczego wcześniej nie podejrzewał. Szczęśliwie Swarozyc nie opuścił go w potrzebie i zesłał mu przez Rokitynę wyraźną przestrożę. Nad czym więcej dumać? Rokityna miała rację. Jeśli nie chciał śmierci dziecka, które nosiła w łonie, jeżeli pragnął odpędzić od kraju widmo zagłady, musiał wybierać.

Z początku umyślił z Rokityną, że dla uniknięcia podejrzeń upozorują wypadek na polowaniu: nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać istnienia zbrodniczego spisku, zwłaszcza jeśli wraz z książęcym synem zginie kilku wojów księcia. Tak postanowiwszy, zaczęli rozmyślać nad stosownym planem, gdy niespodzianie zjawił się Myrddin. Wraz zaś z przyjazdem Myrddina pojawiła się sposobność przeprowadzenia całego zamysłu w znacznie dogodniejszy i bezpieczniejszy sposób.

* * *

Myrddin przybył przed niespełna trzema niedzielami wraz z karawaną kupców znad Dunaju. Z początku także podawał się za kupca, za czym przemawiać miała znajomość wielu języków, a brak towarów wyjaśniał tym, że w drodze złupili go wieleccy rozbójnicy. Jednak już nazajutrz po przyjeździe, przy sutej uczcie obficie podlewanej mocnym miodem, leciwemu gościowi rozwiązał się język. Wyznał, że pochodzi z Brytanii i nie jest kupcem, tylko magiem i kapłanem. Za sprawą magicznego napoju popadł w niełaskę u króla Marka i został skazany na banicję. Miał wszakże nadzieję, że kiedy królowi minie pierwszy gniew, pozwoli mu powrócić do Brytanii i zająć dawne miejsce na dworze.

Rokityna na wzmiankę o magicznym napoju nadstawiła ciekawie ucha. Dolewając gościowi miodu, wydobyła z niego całą opowieść.

Kroi Marek, mąż już niemłody, usłyszał o niezwyklej urodzie młodzietkiej Isolty, córki królowej Irlandii. Zapragnął mieć ją za żonę, lękał się jednak, że urodziwa księżniczka odrzuci zaloty starzejącego się władcy. Myrddin, nie zdradzając, co zamierza uczynić, zapewnił króla, że Isolta pokocha go dla jego męstwa i mądrości. Przygotował potajemnie magiczną miksturę, po której wypiciu Isolta miała ujrzeć króla młodszym i urodziwszym, i zapłonąć do niego miłością. Przekupiwszy dworkę Isolty, posłał do niej naczynie z miłosnym napojem i przykazał, by dodała go swej pani do wina tuż przed przybyciem króla Marka. Ta jednak nie sprawiła się jak należy i pierwszym mężem, którego Isolta ujrzała po wypiciu eliksiru, był Tristram, siostrzeniec Marka, młodzieniec szpetny od urodzenia, którego król wysłał przodem dla zapowiedzenia swego przybycia i tak oto za sprawą czarów Isolta pokochała Tristrama. W dniu, w którym miała poślubić starego króla, uciekła z jego siostrzeńcem, czyniąc sobie z niego kochankę, Marek zaś, wystawiony na pośmiewisko, powrócił do domu i całą złość obrócił przeciwko Myrddinowi. Mag uznał tedy, że lepiej zrobi usuwając mu się z oczu. Wcześniej dużo słyszał o cudownych właściwościach złocistego kamienia, który morze wyrzuca na brzeg w dalekiej ziemi Prusów. Zamierzał tam dotrzeć i kamień odnaleźć, by z jego pomocą wkraść się na powrót w łaski króla.

Rokityna czekała cierpliwie, aż mag skończy opowiadać. Odprawiła służące i własnoręcznie dołąła gościowi miodu.

- Magiczny napój, powiadasz? Naprawdę potrafisz coś takiego uwarzyć? - spytała z udawanym powątpiewaniem.

- O, sama receptura jest prosta! - podjął z ożywieniem Myrddin. Zaraz jednak zmarkotniał. - Cała trudność to utrafić na odpowiednią chwilę i osobę.

Rokityna wydeła wargi.

- Po prawdzie to i nasi wróże potrafią się z tym sprawić - powiedziała niewinnie. Spojrzała porozumiewawczo na Mojsława. - Jak trzeba to i deszcz przywołają, ciało wroga obsypią wrzodami, albo z choroby wyleczą. Żadne to czary. Co jeszcze umiesz?

Myrddin odstawił kielich i głośno czknął. Wytarł usta dłonią, przymknął oczy i zaczął wyliczać:

- Potrafię zatrzymać mocz u ludzi i zwierząt, wróżę we śnie i na jawie, znam klątwy powodujące ślepotę i gnienie członków za życia, umiem wywołać ognisty deszcz w zimie i zimową zawieruchę w środku lata. Potrafię cofnąć śmiertelną gorączkę i wyleczyć z wielu przypadłości, wiem, jak rozcieńczyć krew płynącą w żyłach i jak ją zagęścić, znam sekretne pismo do sporządzania dobrych i złych zaklęć. Dużo by wyliczać.

Myrddin niepewnie podniósł kielich, umoczył usta w miodzie.

- A człowieka w zwierzę umiesz przemienić? To dopiero sztuka! - Rokityna cmoknęła do swoich myśli.

Myrddin spoważniał i cofnął rękę z kielichem.

- To niełatwe - mruknął niechętnie. - I nie każdy powinien się do tego zabierać.

Rokityna pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Zjechał tu do nas, będzie już ze dwa roky temu, jeden wróżbita z Galii. Przywiózł ze sobą wilka w klatce. Zarzekął się, że przy pełni księżyca sam się przemieni w zwierzę. No więc kiedy księżyc był w pełni, poleciłam zamknąć maga w drugiej klatce, postawiłam przy nim strażę i czekałam, co się wydarzy.

- No i? - spytał Myrddin z ociąganiem.

- Phi, zwykły kuglarz. Noc minęła i nic, nawet włosów na ciele mu nie przybyło. - Napełniła ponownie kielich Myrddina, udała, że nalewa sobie i Mojsławowi.

- Kazałam oszusta wsadzić do klatki z tym jego wilkiem i wywieźć na podgrodzie, żeby i inni mogli go sobie obejrzeć. Nie tak było? - spojrzała ponaglająco na milczącego do tej pory Mojsława.

Książę drgnął jak wybudzony ze snu.

- A jakże - przytaknął energicznie. - Wilczyso musiało być wygłodniałe, bo w trzy dni się z nim sprawiło. No i dobrze. A bo to mało wkoło szachrajów i oszustów? Ciągną do książęcego dworu jak muchy do miodu - zakończył, spoglądając znacząco przybysza.

Myrddin ciężko westchnął.

- Jak powiedziałem, ta sztuka do prostych nie należy - podjął z namysłem. - Nie wystarczy tylko poznać zaklęcia, dobrać ingrediencje i wypowiedzieć w odpowiednim miejscu i czasie magiczną formułę. Tego wszystkiego można się nauczyć. Ale potrzebna jest jeszcze specjalna moc, która dana jest nielicznym. Sam spotkałem tylko jednego maga, który ją posiadał. I coś wam rzeknę. Chociaż był próżny i lubił się popisować tajemną wiedzą, tej sztuki używał nader rzadko, bo zbyt dobrze zdawał sobie sprawę..

- Więc potrafisz czy nie? - przerwała mu obcesowo Rokityna. Mojsław poruszył się niespokojnie, ale idąc za przykładem żony spojrzał przynaglająco na gościa.

- Jest jeszcze jedna trudność - zaczął wymijająco mag z Brytanii. - Łatwiej człowieka zamienić w zwierzę, niż przywrócić mu potem ludzką postać. Wystarczy źle obliczyć położenie księżyca, a wszystko...

- Jeszcze jeden kuglarz - prychnęła księżna. - Umie trafić łyżką do gęby - ot, cała jego magia.

Myrddin poderwał się tak szybko, że aż przewrócił stół. Sięgnął ręką za pazuchę, dobył dwie krótkie drewniane pałeczki pokryte dziwnymi znakami. Potrząsnawszy głową niczym szykujący się do ataku baran, wyciągnął pałeczki przed siebie, skierował je w stronę kielicha z miodem i zaczął coś mówić w niezrozumiałym dla Rokityny i Mojsława języku, to zniżając głos do szeptu, to prawie krzycząc. Księżęca para siedziała bez ruchu, wsłuchana w potok dźwięków, z których dawały się wyróżnić powtarzające się słowa: *Myrddin righ druath, druidecht, ogamflesca*.

Myrddin poruszył pałeczkami i kielich drgnął. Następnie uniósł powoli pałeczki, naczynie zaś posłusznie także jęło się wznosić, jakby podtrzymywane niewidzialną ręką. Opuszczając jedną pałeczkę i podnosząc drugą, mag sprawnie przechylił kielich, aż strumyk złocistego płynu spłynął na stół. Przy wtórze mruczających zaklęć, poruszany tajemną siłą, kielich unosił się teraz płynnie nad stołem, co rusz zmieniając kierunek, aż opadł wreszcie na swoje miejsce, a na drewnianej powierzchni pozostał wymalowany miodem rysunek. Myrddin wznosił się na palce, stuknął pałeczkami o stół i śpiewnie zawołał, kończąc zdanie uroczystym *teinm laegda*. W tejże chwili miodowy rysunek ożył. Zamienił się w olbrzymią złotą pszczołę, która z głośnym bzyczeniem wzleciała w górę, trzepocząc skrzydłami pochwyciła dzban z miodem i wciąż unosząc się w powietrzu, napełniła kielich. Zaraz potem odstawiła dzban, przysiadła na jego krawędzi,

gdzie w okamgnieniu zamieniła się w złocistą mgiełkę, która spłynęła do naczynia. Powietrze w komnacie wypełnił mocny miodny zapach.

- Bardzo zmyślnie! - zakrzyknęła Rokityna i klasnęła w dłonie. Mojsław, pozieleniały na twarzy, odsunął się ze stołkiem od stołu i wpatrywał w osłupieniu w napełniony miodem kielich. Rokityna chwyciła dzbanek, ułła trochę do swojego kielicha; ostrożnie powąchała trunek, wzięła miód na czubek języka, popróbowała. Młasnęła z zadowoleniem. - Smaczny. Sprytna sztuczka. Nie widziałam czegoś podobnego u tutejszych kuglarzy.

- Żadna sztuczka! - obruszył się Myrddin. - To najprawdziwsza magia. Sztuka cielesnej transformacji, podstawowy wymóg stawiany filidom przy egzaminie na druida.

- Sprytnie, naprawdę sprytnie. Jak tego dokonałeś? - dopytywała niewinnie Rokityna.

- Tego nie powiem - zastrzegł się stanowczo Myrddin. Widać jednak było, że pochwały księżnej podbechtały jego ambicję. - Po pierwsze to sekret, po drugie każda sztuka wymaga innego podejścia i osobnego zaklęcia. Wiele by o tym mówić. Tyle tylko rzeknę, że w tym przypadku do podniesienia dzbana posłużyłem się *flesca filed*, magicznymi różdżkami, które przy dobraniu odpowiedniego zaklęcia mogą przenosić masywne obiekty na odległość wielu kroków. Dla wprawnego maga przestrzeń i ciężar nie są wielką przeszkodą.

- Chcesz powiedzieć - podchwyciła Rokityna, kiwając mądrze głową - że są umiejętności wymagające większego trudu i dostępne tylko nielicznym? Jak na przykład owa zamiana formy człowieczej w zwierzęcą? Tak, to najwyższy stopień wtajemniczenia, wiedza godna mistrza magii takiego jak ty. Dobrze mówię? - Uśmiechnęła się przymilnie.

Druid tymczasem zajął z powrotem miejsce przy stole. Podrapał się po spiczastym nosie, ściągnął siwe brwi w namyśle.

- Po prawdzie dawno tego nie praktykowałem - zaczął, udając wahanie - ale jak to u nas mówią: „Kto raz dobrze zasiał, zawsze będzie zbierał”. - Spojrzał przez okno i raptem poderwał się od stołu. - Zaraz będzie zmierzchać - mruknął do siebie. - Trzeba iść poszukać dębu, który by się nadał.

Nie mówiąc nic więcej, mag ruszył do drzwi i szybkim krokiem wyszedł z komnaty, nie oglądając się na gospodarzy. Rokityna i Mojsław popatrzyli po sobie i podążyli za nim.

Myrddin szedł spieszenie po schodach, wyszedł na podwórze i rozejrzał się uważnie. Twarz mu się ożywiła. Mamrocząc coś do siebie, skierował się prosto do leciwego dębu, który rósł samotnie przy bramie wiodącej do podgrodzia. Z głową zadartą do góry, powoli obszedł drzewo, jak gdyby czegoś wypatrywał. Naraz podskoczył, złapał się gałęzi i nad podziw zwinnie jak na swój wiek wdrapał się na drzewo. Poruszyły się konary, zatrzęsły się liście. Po chwili Myrddin wynurzył się z zieleni i zsunął zgrabnie na ziemię.

- Piękna jemioła, złocista i dorodna - mówił do siebie na głos, lekko tylko zasapany. - I dąb okazały, niczym *duiry* z moich stron! Dawno takiego nie widziałem. Zupełnie jakbym Igdrasila zobaczył.

- To Dobrostoj, święte drzewo - przestrzegł go Mojsław. - Upodobał je sobie sam Swarozyc. Kapłani Swarozycy pod tym dębem składają ofiary i tu przychodzą, gdy trzeba odczytać przepowiednię.

- Od razu poznałem, że to *drunemeton*, święta dąbrowa - ucieszył się mag. - Tym lepiej się nada. Wrócimy na to miejsce o północy. Księżyc o tej porze będzie stał dokładnie nad drzewem i jemioła w księżycowym świetle mienić się będzie złocistą barwą. A krew i złoto to czarodziejska mieszanka, skrajności, które się przyciągają - zakończył tajemniczo.

Ruszył szybkim krokiem do pałacu, przynaglając ich ruchem ręki, by poszli za nim. Nie zwalniając marszu, zaczął wyliczać:

- Czasu pozostało niewiele, trzeba się pospieszyć. Posłuchajcie dobrze, co macie przyszykować. Muszę mieć rocznego wieprza, srebrny kielich bez jednej skazy, nóż, którym jeszcze nigdy nie krajano mięsa i nie utoczono krwi. Do tego białe lniane płótno, dopiero co utkane, nie prane jeszcze i do niczego nie używane. No i potrzebna będzie wysoka, solidna drabina. To chyba wszystko... Aha, i chciałbym z góry wiedzieć, jakie zaklęcie przygotować. Kogo i w jakie zwierzę mam przemienić?

Rokityna zrównała się z nim i odparła szybko, nie dopuszczając Mojsława do głosu:

- Czuję, że nie godzi się nam brać obcych do takiej próby. Najlepiej posłuż się Krakiem. To syn Mojsława, a mój pasierb. Pytasz, w co go przemienić? Niech będzie szczur.

- Szczur? - jęknął Myrddin i aż przystanął. - Nie może być coś bardziej poetyckiego? Na przykład feniks. Albo koń z głową jednorożca. W ostateczności kot z kraju faraonów. Ale szczur? To takie... przyziemne!

Rokityna poczerwieniała na twarzy.

- Widzisz, drogi Myrddinie, wstyd mi o tym mówić - zaczęła z ociąganiem. - Od urodzenia boję się myszy i szczurów... Wiem, że to przypadłość właściwa wielu niewiastom, ale mam nadzieję, że tym sposobem...

Urwała i zwiesiła głowę pod pytającym spojrzeniem Myrddina. Mojsław przyszedł żonie w sukurs:

- Księżna wierzy, że widok ukochanego pasierba zamienionego w szczura pomoże jej przemóc wrodzony lęk. Rozumiesz, wstyd jej ogromnie, że ktoś mógłby ją przychwycić na takiej słabości.

Myrddin ściągnął wargi w namyśle. Pokiwał głową, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Jak to mówią - podjął sentencjonalnie - przyjdź z pomocą niewieście to rycerska powinność. Dobrze, niech będzie szczur.

Wielki Myrddin minę miał jednak dość kwaśną, kiedy wkrótce przed północą stanął pod rozłożystą koroną Dobrostoja. Przy świetle łuczyców zatkniętych w ziemi obejrzał w skupieniu przedmioty, które księżęca para przyniosła na jego życzenie. Długo pucował rękawem srebrny puchar, sprawdzając, czy nie dopatry się jakiejś skazy, przeciągnął kilka razy magiczną różdżką po błyszczącym ostrzu noża, na koniec przyłożył zwinięte białe płótno do czoła i przymknąwszy oczy, pozostawał tak przez długi czas. Wreszcie cmoknął z zadowoleniem i wymamrotał coś w swoim języku.

- Powinny się nadać - zwrócił się do księcia. Rozpostarł białe płótno na ziemi i umieścił na nim kielich i nóż. Przykucnął przy przywiązanej do kołka wieprza, zajrzał zwierzęciu do pyska. - Dobrze, bardzo dobrze - mruknął. Upewnił się jeszcze, czy kołek tkwi mocno w ziemi i czy postronek utrzymuje wieprza w wystarczającej odległości od białego płótna

- Zawsze przy podobnej okazji mam na podorędziu przysposobionego pomocnika - powiedział, przyglądając się z dezaprobatą księżęcej parze. - Dzisiaj wy mi musicie wystarczyć. Jedno sobie zapamiętajcie: kiedy po dopełnieniu magicznego rytuału jemięta spocznie na białym płótnie, nikt poza mną nie może jej dotknąć, bo jemięta utraci moc. - Urwał i widać było, że bije się z myślami. Dopowiedział z ociąganiem, jak gdyby zdradzał sekret: - A nade wszystko miejcie baczenie, żeby jemięta nie pochwycił wieprz. Co prawda przywiązany jest wystarczająco daleko, ale nigdy nie wiadomo...

- A cóż by się mogło wtedy stać? - zapytała Rokityna. Myrddin wytarł głośno nos w rękaw płaszcza. Odchrząknął, jakby nagle zabolalo go gardło.

- Tego nie trzeba wam wiedzieć - odparł opryskliwie. Po chwili dodał łagodniejszym już tonem: - Dla przestrogi tyle tylko mogę powiedzieć, że powrót księżęcego syna do ludzkiej postaci mocno by się opóźnił. Ale właśnie, gdzie podzialiście Kraka? Mielście go tu sprowadzić.

- Jest, jest - zapewniła pospiesznie Rokityna. Wskazała długi ciemny kształt na ziemi, po prawej stronie dębu. - Ma dosyć lekliwą naturę, więc musiałam dać mu nasennej nalewki, żeby się nie wystraszył. Pewnie prześpi spokojnie i nic nie będzie pamiętał.

Myrddin nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Bardzo wątpię. Nie znam nikogo, kto by się nie wybudził, kiedy kości zaczną mu się kurczyć, a ścięgna będą się wykręcać. Czary czarami, ale cudów nie ma.

Kręcąc sam do siebie głową, podniósł z białego płótna kielich i nóż, kielich schował za pazuchę, następnie zbliżył się do wieprza. Zwierzę zakwiczalo. Szarpnęło się na postronku, próbując uwolnić z uwięzi. Myrddin wprawnym ruchem chwycił postronek tuż przy łbie i wymacał palcem żyłę na świńskiej szyi, przyłożył tam ostrze i lekko pociągnął. Krew trysnęła cienkim strumieniem. Rzucił nóż na lniane płótno, nie wypuszczając postronka sięgnął po kielich i zaczął zbierać krew do naczynia.

Mojsław rozejrzał się czujnie. Nigdzie żywego ducha. Tylko na wysokości bramy prowadzącej do podgrodzia, na tle oświetlonego księżycem nieba, majaczyła pojedyncza sylwetka wartownika, który z platformy na szczycie ostrokołu czuwał nad bezpieczeństwem księżęcego grodu; był zbyt daleko, by wypatrzeć, co dzieje się przy świętym dębie. Księżę uśmiechnął się z zadowoleniem: mądrze uczynił, wysyłając za radą Rokityny wojów pod dowództwem Dziadoszyna do pobliskiej ostoji bartników po miód, a pozostałych wartowników stawiając na zewnątrz okalającego gród ostrokołu. Nikt nie powinien niczego zauważyć.

Spojrzał na Rokitynę. Starając się nie zwrócić na siebie uwagi starucha, zdołała zbliżyć się o kilka kroków do rozciągniętego na trawie płótna. Trwała w pogotowiu, trzymając prawą rękę w pobliżu pochewki z nożem, śledząc każdy ruch Myrddina.

Mag tymczasem odstał od świni, przykleknął na ziemi i sięgnął po nóż, zrobił sobie niewielkie nacięcie na lewym nadgarstku. Odczekał, aż trochę krwi spłynie do kielicha, po czym wstał i zwrócony twarzą ku północy zakręcił kilka razy naczyniem, recytując ścisłym głosem niezrozumiały dla obojga monolog. Urwał nieoczekiwanie i przymknął oczy, jakby w połowie zdania zmorzył go sen. Stał nieporuszenie przez długi czas, prawie nie oddychając, poruszając bezgłośnie wargami. Naraz otworzył

oczy i wyciągnął ręce z kielichem przed siebie. Obracał się powoli, kierując kielich na cztery strony świata, za każdym razem zatrzymując się, by odmówić jednako brzmiącą litanie.

Kiedy podszedł do dębu, liście zaszeleściły jak na wietrze. Z kielichem w prawej dłoni wspiał się sprawnie po przystawionej do pnia drabinie. Podjął śpiewną recytację. Gałęzie poruszyły się. Noc była bezwietrzna, ale dąb zaczął jęczeć i zawodzić jękliwie, jakby wtórował inkantacjom Myrddina. Mag śpiewał coraz szybciej. Co jakiś czas przerywał i wówczas wśród liści dawało się wychwycić błysk poruszającego się kielicha: staruch potrząsał naczyniem, za każdym razem ulewając trochę krwi na liście drzewa. Wreszcie skończył i zszedł po drabinie na ziemię. Postawił kielich na białym płótnie, wyjął z niego obsypaną jagodami gałązkę jemioty. Oderwał kawałek gałązki, złożył resztę obok kielicha, następnie podszedł do pogrążonego we śnie Kraka.

Mojsław przyglądał się, wstrzymując oddech. Widział, jak Myrddin odrywa kilka jagód i ściska je między palcami tak długo, aż krople zaczynają ściekać na twarz śpiącego. Nieruchomy dotychczas Krak drgnął. Wciąż leżąc, zwinął się wpół, powoli podkurczył nogi: ból najwyraźniej dawał o sobie znać. Wreszcie zbudził się i spróbował podnieść. Na próżno. Kończyny zaczynały mu się już wykręcać w stawach i nie był w stanie dźwignąć się nawet na kolana. Zawodząc jękliwie, wił się na ziemi jak przydeptany robak. Głowa wydłużyła mu się, twarz przybrała ostre rysy, zniekształcone członki pokryły się sierścią. Pojawiły się zaczątki chudego bezwłosego ogona. Nie jęczał już, tylko żałośnie popiskiwał.

Mojsław przełknął ślinę. Zbierało mu się na wymioty. Odwracał się już, żeby odejść, gdy osadził go w miejscu chrapliwy krzyk Myrddina. Powrócił spojrzeniem do maga. Staruch wciąż stał przy Krak; zwrócony twarzą do Mojsława pokazywał coś ręką i chwiał się na nogach, niezdolny zrobić kroku. Mojsław spojrzął za siebie i zrozumiał, co się stało: świnia, odwiązana od kołka, stała przy białym płótnie i kończyła zżerać pozostawioną przez Myrddina jemiotę. Rokityna trzymała drugi koniec postronka, pilnując, by na płótnie nie pozostała nawet jedna jagoda.

Mag nie panował już nad własnym ciałem. Każdy członek zdawał się żyć własnym życiem, wykręcał się jak targane wiatrem gałęzie, jakby wróżbitę opanowały złośliwe widma i każde z nich starało się przeciągnąć go w swoją stronę. Zakołysał się i o mało nie upadł. Raptem zdołał się wyprostować. Z najwyższym trudem odwrócił się w stronę półszczurzej, półczłowieczej poczwary, wyglądało jednak na to, że odzyskuje panowanie nad członkami. Wyciągnął ręce nad Krakiem, nabrał powietrza i wychrypiął:

-Myrddin, righ druadh...

Mówił coś jeszcze, ale coraz mniej wyraźnie i dźwięków obcej mowy nie dawało się dłużej odróżnić. Na koniec wyprężył ciało, wspiał się na palcach i splunął na Kraka. Następnie głosem tak strasznym, że Mojsławowi pot spłynął po plecach, zawołał trzy razy:

- Grendel! Grendel! Grendel!

W tym momencie siły go zawiodły. Zwalił się bezwładnie na ziemię i przewrócił na plecy. Próbując się podnieść, zaczął kręcić się wkoło jak wprawiony w ruch kamień - migotliwa masa bez kształtu i koloru. Mojsław odsunął się na bezpieczną odległość, dobył miecza i w oszołomieniu śledził turlającą się postać. Kątem oka dojrzał, że Rokityna skrada się do Myrddina z nożem w ręce, czekając na stosowną okazję do zadania ciosu.

Myrddin przestał się miotać, leżał chwilę na boku, odpoczywając. Za sprawą podstępnej Rokityny przemienił się w świnie. Podniósł się niepewnie, zbadał ziemię racicami, przeszedł kilka kroków. Chód miał chwiejny, rzeził i sapał przy każdym oddechu. Potknął się o wystający kamień i zakwiczał z bólu. Naraz dojrzał skradającą się w jego stronę Rokitynę. Na ten widok jakby odzyskał siły. Potrząsając ryjem i kołysząc się na cienkich nogach, rzucił się w jej kierunku, pokazując obnażone siekacze. W ostatniej chwili wyhamował, uskoczył w bok przed nożem, następnie obrócił się z impetem i zadkiem podciął nogi księżnej. Dopadł leżącą, jakby chciał przegryźć jej gardło. Mojsław na ten widok oprzytomniał. Chwytał miecz w obie ręce, gotów biec księżnej na ratunek. Zanim zdążył zrobić jeden krok, Myrddin zakwiczał przeraźliwie i zaczął uciekać co sił w świńskich nogach. Rokityna, głośno pomstując, dźwignęła się z ziemi, poprawiła rozczochrane włosy. Rozwścieczona do ostatka, otwierała już usta, żeby zbesztać męża, kiedy nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie. Poruszyła bezgłośnie wargami, jęknęła cicho i osunęła się zemdlna.

W tymże momencie Mojsław poczuł za plecami podmuch gorąca. Odwrócił się i miecz wypadł mu z ręki. Tuż przed nim czaiła się smocza maskara. Potwór półleżał wsparty na przednich łapach, wyciągając w jego stronę rozwartą paszczę, opatrzoną dwoma rzędami pożółkłych kłów. Zionęło od niego odorem zgnilizny. Opuścił olbrzymi łeb, jakby chciał lepiej przyjrzeć się księciu, po czym dźwignął się niezdarnie na łapy. Ziemia zdrząła. Mojsław zrobił krok do tyłu, potknął się o własny miecz i upadł. Smok zaryczał

przeciągle. Wyciągnął w jego stronę długą szyję, prawie kładąc łeb na ziemi, łypiąc na Mojsława żółtymi ślepiami. Książę zdrętwiał pod tym spojrzeniem. Rozpoznał oczy Kraka.

Smok pokręcił łbem, jakby się czemuś dziwił. Wreszcie podniósł się majestatycznie i odwrócił, zamiatając ziemię ogonem. Rozłożył błoniaste skrzydła, poruszył nimi dla próby. Smoczy ryk ponownie wypełnił powietrze. Od strony podgrodzia dały się słyszeć krzyki i odgłosy bieżaniny, zapłonęły pochodnie. Smok zatrzepotał skrzydłami, wzbijając tumany kurzu, wziął rozbieg i ociężale wzbił się w górę. Przeleciał nad ostrokołem i skierował się ku nadrzecznym skałkom tonącym w ciemności. Z dołu dobiegły przerażone wołania wartowników.

* * *

- A mnie od początku coś mówiło, żeby nie ufać cudzoziemskim czarom... Zaraz, czy ty mnie słuchasz? - Rokityna przyglądała się mężowi podejrzliwie. - Usnąłeś, czy co?

- Wybacz, zmogło mnie zmęczenie. Mało ostatnio sypiam. Obchodzę strażę, doglądam posterunków, w nocy sam zmieniam wartowników. - Tknięty nagłą myślą podszedł szybko do okna i upewnił się, że teren wokół świętego dębu jest pusty. Nie odwracając się, dopowiedział głucho: - I co rusz sprawdzam ogrodzenie wokół świętego dębu.

- Niepotrzebnie. Krak nie podejździe niepostrzeżenie, a Myrddin po śmierci nam nie zagraża. Jeżeli nie wygrzebały go psy, to już się za niego wzięły robaki. We dwa tygodnie każdemu dadzą radę. Głęboko go pochowałeś?

Mojsław wzdrygnął się nerwowo. Źle zrobił, że nie posłuchał Rokityny i sam nie ubił wieprza, tylko zdał się na świniarza. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz lepiej zmilczeć, niż powiedzieć prawdę. Tego by jeszcze brakowało, żeby Rokityna wykryła, że wieprzek jeszcze dziś rano biegał po podwórku!

- Zakopałem jak należy i przywaliłem kamieniami - zapewnił pospiesznie. Odwrócił się od okna i dokończył pewnym siebie głosem: - Psy nie dokopią się do ścierwa.

Rokityna przycisnęła do piersi zawieszony na szyi srebrny kaptorg, w którym nosiła kamień z podobizną Swarożycza. Mojsław w jednej chwili przypomniał sobie o połamanym amulecie i po raz kolejny tego dnia zdjął go lęk.

- Szczęściem Swarożyc od początku nam sprzyja - odezwała się Rokityna z nabożnym westchnieniem, obracając kaptorg w palcach. - Z jego pomocą pozbedziemy się Kraka. Ale prawda, że dopóki Krak żyje, jemioly na drzewie trzeba pilnować. Jestem pewna, że staruch swoim zakłamięm...

Przerwało jej pukanie do drzwi; zanim Mojsław zdążył się odezwać, drzwi otworzyły się i w progu stanął Dziadoszyn. Powitał ukłonem księżnę, po czym nie zwlekając zwrócił się do księcia:

- Przyszedł szewc Skuba. Pilnie prosi o posłuchanie.

- Nie dzisiaj! - Mojsław machnął niecierpliwie ręką. - Dowiedz się, w czym rzecz i tymczasem go odpraw.

- Kiedy mówi, że przychodzi w sprawie smoka. Upiera się, że będzie rozmawiać tylko z księciem. Pomyślałem, że może to coś ważnego.

W sprawie smoka, powiadasz? - Mojsław poczuł, jak do głowy uderza mu fala gorąca. Czyżby Skuba coś wyniuchał? Spojrzał na Rokitynę. Skinęła nieznacznie głową i skierowała wzrok na skrzynię w rogu komnaty. W mig pojawił się, co miała na myśli. Powrócił spojrzeniem do Dziadoszyna. - Przyjmę go w izbie drużynników. Odczekaj dobrą chwilę i tam go przyprowadź.

* * *

Skuba wsunął się za Dziadoszyna i zatrzymał zaraz przy drzwiach izby, najwyraźniej niepewny, jakie czeka go przyjęcie. Gęste ciemne włosy miał starannie uczesane, długie wąsy przystrzyżone. Ubrał się w odświętną białą koszulę z lnu, założył zdobiony srebrnymi guzami pas, na nogach miał trzewiki z dobrze wygarbowanej owczej skóry, wyszywane barwionymi nićmi. Był ledwo średniego wzrostu, ale nosił się prosto i głowę trzymał wysoko. W szewskim fachu nie miał sobie równych i z tej przyczyny cieszył się względami samej księżnej. Ukłonił się przed Mojsławem, czekał jednak cierpliwie, aż książę odezwie się pierwszy.

Mojsław ruchem ręki odprawił Dziadoszyna i przywołał Skubę do siebie. Sam nie zasiadł przy ławie, dając rozmówcy do zrozumienia, że nie poświęci mu zbyt wiele czasu. Zerknął w róg dębowej powały. Tak jak się spodziewał, Rokityna obsunęła już skrzynię i odsłoniła otwór w podłodze. Nasłuchiwała teraz pewnie, równie jak on ciekawa zamiarów Skuby.

- No więc? Z jaką sprawą przychodzisz? - przemówił głośno, siląc się na obojętny ton.
- Jakże, wiadomo przecie. Ludzie o jednym teraz tylko mówią - zaczął Skuba. Mówił cicho, ale głos miał pewny. - Smok wszystkim napędził stracha. Nie ma takiego śmiałka, co by się ważył po zmierzchu nos wytknąć z domu.

- To mi nie nowina! - zachnął się Mojsław. - Skrzyknąłem drużynników, za dzień, dwa ruszymy na bestię.

- Nie dali mu rady przedtem, nie dadzą i teraz. A i ludzie przebąkują, że wojowie wcale się nie palą do wyprawy, bo dobrze pamiętają, co spotkało pierwszych śmiałków.

- Głupi, kto takie wieści rozpущza! Może i głową zapłacić! Mówię ci, że drużynnicy tylko czekają na sygnał do wymarszu. Zebrałem dwanaście mieczy, a jak będzie trzeba, zbiorę dwa razy więcej.

- Tylko że miecze mogą nie wystarczyć. Innej broni tu trzeba - odparł spokojnie Skuba.

Mojsław przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

- Z czym przychodzisz? Mów! - przykazał stanowczo.

- Obmyśliłem, jak bestię pokonać - obwieścił Skuba. - Sposób jest prosty, pewny - i bezpieczny.

Książę popatrzył na niego jak na cudaka. Wreszcie nie wytrzymał i zaniósł się głośnym śmiechem.

- Ty? Na potwora? W pojedynkę? - wychrypiał, chichocząc. - Z knypem czy z młotkiem?

- Broni mi nie trzeba - odrzekł szewc, wcale nie zrażony. - Nawet największy pęcherz, jak rozedmie się ponad miarę, w końcu sam pęknie.

Śmiech urwał się i w izbie zaległa cisza. Z góry dobiegł Mojsława hałas, jakby ktoś szurał czymś po podłodze. Hałas ustał.

- Szaleju się najadłeś? - syknął wściekły książę. Chciał, by zagrzmiało to groźnie, ale ton jego głosu zdradzał niepewność.

- Wybacz, książę, mówienie zagadkami - pospieszył z odpowiedzią Skuba. - Już objaśniam, w czym rzecz. Przygotuję i podrzucę bestii jakiś smakowity kąsek - owcę czy świnię, zwierzę w sam raz duże, żeby bestia zdołała je połknąć za jednym zamachem. Tyle że usunę bebechy, a do środka napakuję siarki. Jak smok połknie ten kąsek, zacznie palić go takie pragnienie, że zejdzie nad rzekę. Ale choćby nie wiem jak dużo wody wypił, siarka wciąż będzie go palić. W końcu woda tak go rozedmie, że potwór rozpęknie się na kawałki. Jak przepełniony nad miarę pęcherz.

Skuba skończył. Z przyzwyczajenia wytarł ręce o koszulę, jakby miał na sobie szewski fartuch. Mojsław przyglądał mu się długo, w skupieniu ważąc usłyszane słowa.

- Kto wie - zaczął mówić do siebie, marszcząc czoło w zamyśleniu - może się i uda? - Spojrzał na Skubę z nagłym błyskiem w oku. - Jesteś pewny, że siarka go zmoże?

Jeśli nie pęknie od wody, to w każdym razie tak nieruchawy się stanie, że bez trudu da radę go ubić.

- Dobrze... Wybornie... Jeżeli ci się uda, nagroda cię nie ominie. Czego chcesz?

- Za twoim, panie, przyzwoleniem, wzięłbym smoczą skórę. Taka rzecz to wielka osobliwość, a dla szewca cenniejsza od złota.

- Bierz, bierz - zgodził się ochoczo Mojsław. - Potrzebujesz jakiej pomocy?

- Dam radę sam ze wszystkim - zapewnił szewc. - Zdałaby się tylko jakaś owca dla smoka na poczęstunek, żeby nie musiał swoich marnować...

- Idź do ubojników i wybierz sobie jakie chcesz zwierzę. Powiesz, że to z książęcego rozkazu. - Mojsław zatarł ręce z ożywieniem: - Kiedy będziesz gotowy?

- Do wieczora powinienem się ze wszystkim sprawić - zapewnił Skuba. Po namyśle dopowiedział: - A do jamy podejść nocą. Ciemność lepiej kształty skrywa.

* * *

Skuba strzelił batem i wół niechętnie ruszył piaszczystym traktem, ciągnąc pod górę wóz, na którym stały, tuląc się do siebie, dwie owce. Skuba obrzucił je zadowolonym spojrzeniem; widział już oczami wyobraźni ociekające tłuszczem półtusze i combrzy. Zwierzęta były okazałe i wyjątkowo tłuste. Usłyszawszy, z czyjzego rozkazu Skuba przychodzi, ubojnik wybrał dwie najdorodniejsze sztuki i sam pomógł załadować je na wóz.

W miejscu, gdzie trakt się rozwidlał, Skuba skręcił w prawo, na drogę prowadzącą do jego zagrody. Wół ruszył żwawiej, najwyraźniej wyczuwając bliskość domu. Zaprzęg mijał właśnie chałupę świniarza, kiedy przez zwałony płot przeskoczył kwiczący żałośnie wieprzek, a za nim goniący zwierzaka Chościsko. Pędząc jak oszalały, wieprz wpadł na drogę, zderzył się z kołem wozu i zwałił półprzytomny na ziemię.

- Co to, w domu polujesz na świnię? - zaniósł się śmiechem Skuba.

- Pomógłbyś, zamiast się śmiać! - wrzasnął świniarz, z trudem łapiąc oddech.

Skuba zeskokczył z wozu, usiadł okrakiem na leżącej świni, a Chościsko kilkoma wprawnymi ruchami skrępował jej przednie i tylne nogi, na tyle luźno, żeby mogła się poruszać. Przy pomocy Skuby nałożył jej na szyję gruby postronek, mocno zaciągnął pętlę, postronek przywiązał do wozu. Podniósł się z ziemi, świszcząc z wysiłku.

- Czarczi pomiot! - wysapał. - Trzeci raz mi ucieka!

- Lochy spragniony, co? Choć po prawdzie na knura mi nie wygląda.

- Nie, pod nóż idzie. Ostatnie jego godziny. Więcej z nim kłopotu niż pożytku. A i mięsa niewiele - sama skóra i kości.

Sama skóra, powiadasz? - mruknął Skuba, tchnięty nagłą myślą. Popatrzył na dwie tłusciutkie owce, następnie obejrzał szarego wieprzka. Prawda, chudy i kościsty, lecz wzrostem by się nadał.. Szybko podjął decyzję. - Pieczeni z niego nie zrobisz, ale ze skóry można by wykroić kilka par niegorszych trzewików. Mogę go wziąć.

- Książę przykazał...

- Widzisz te owce? Właśnie z rozkazu księcia objeżdżam ubojników i wybieram sztuki, które mi się nadadzą.

- Kiedy miałem przykazane, żeby świniaka jak najszybciej ubić. Może chory jakiś...

- O to się nie martw. Do wieczora wyleczę go nożem z każdej choroby. No, więc jak?

- Bo ja wiem? Nie powinienem... - Chościsko przerwał, bo wieprzek tymczasem oprzytomniał i zaczął miotać się jak opętany po ziemi, wzbijając kurzawę piasku. Świniarz popatrzył z żalem na smużkę dymu z komina: Chościskowa warzyła już obiednią strawę. Machnął ręką z rezygnacją. - No, ale skoro masz przyzwolenie księcia...

Wspólnymi siłami wciągnęli wieprza na wóz po grubej desce. Skuba stał na wozie i ciągnął za postronek, a Chościsko, zapierając się nogami o ziemię, pchał zad zwierzęcia. Mocno się zmachali, zanim wieprzek znalazł się w kącie wozu, krótko przywiązany do rozwozy. Wół ruszył żwawo na jedno świśnięcie batem i po przejechaniu leśnej przecinki sam skręcił do zagrody. Skuba zaciągnął wieprza do małej drewnutni, zamknął drzwiczki na solidny skobel. Owce zaprowadził na łąkę za chatą, uwiązał je na długich powrósłach, przywiązanych do kołków wbitych w ziemię, potem wyprzął wołu i podprowadził do poidła. Otarł pot z czoła i ruszył do szopy, by podjąć przerwana rano pracę. Nastąpiło już południe i musiał się spieszyć, żeby do wieczora uporać się z robotą.

Skóry leżały zwinięte w kącie szopy, tam, gdzie je zostawił. Rozwinął je powoli, żeby nie uszkodzić łączących je pęcherzy: wyprawione i pocięte na odpowiedniej długości pasy, przyszyte były lnianymi nićmi do płatów mocno wygarbowanych skór, które ufarbował zmyślnie kilkoma barwnikami tak dobranymi, by nadać im różne odcienie brązu, żółci i zieleni. Pochylony na niskim stołku, zabrał się do zszywania pozostałych kawałków skóry. Robota szła mu składnie, szewska igła szybko śmigająca we wprawnych rękach. Kiedy skończył, obejrzał wszystkie ścięgi. Upewnił się, że nici dobrze trzymają, ale przy mocnym szarpnięciu pękają i rozrywają pęcherze. Zadowolony z siebie, zwinął skóry w rulon, całość złożył we dwoje i przewiązał grubym powrósłem. Słychać już były okrzyki pastuchów, gnających krowy z pastwisk. Skuba zdjął z haka długi nóż, wyszedł z szopy i ruszył przez podwórze do drewnutni.

* * *

Myrdin odczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do półmroku panującego w drewnutni. W pobliżu wejścia dostrzegł pień z siekierą. Podreptał tam powoli, bo postronki na nogach krępowwały mu ruchy. Ostrze siekiery wbite było do połowy. Ryjem trącił lekko pień, potem pchnął mocniej, poprawił jeszcze raz, aż pień przewrócił się i siekiera upadła na ziemię. Znienacka zrobiło mu się czarno przed oczami; przysiadł na zadzie i musiał odpocząć, zanim odważył się znowu ruszyć. Głowa wciąż go bolała od zderzenia z wozem. Doczłapał do siekiery, chwycił trzonek w pysk i przeciągnął narzędzie do najbliższej ściany. Przewróciwszy się na bok, przysunął siekierę pod samą ścianę i przytrzymując trzonek tylnymi racicami, zaczął pocierać wiązanie na przednich nogach o ostrze. Szło mu niesporo. Racice omdlewały po kilku ruchach, trzonek wysuwał się i wszystko trzeba było zaczynać od nowa. To, co przed dwoma tygodniami zajęłoby mu kilka chwil, teraz ciągnęło się w nieskończoność. Wreszcie wiązanie puściło. Zakwiczał z radości i bez odpoczynku zabrał się do przecinania drugiego postronka. Z tym poszło mu sprawniej. Podniósł się, zrobił kilka kroków. W głowie wciąż mu huczało, ale na nogach trzymał się już pewniej.

W stercie drzazg i trocin znalazł potrzebny mu kawałek drewna, wystarczająco cienki, by zmieścić się w szparze między deskami drzwi i na tyle długi, by sięgnął skobla. Trzymając patyk w pysku, wsunął go w

szparę, podważył skobel. Drzewno odskoczyło i drzwi ustąpiły pod lekkim pchnięciem. Wysunąwszy ostrożnie ryj, rozejrzył się niepewnie. Podwórze było puste. Wymknął się bezszelestnie i ukrył za drewnutnią. Nic się nie działo. Pobiegł do płotu ogradzającego podwórze, odszukał obłuzowaną deskę, przecisnął się na drugą stronę. Odczekał długą chwilę, sprawdzając, czy nikt nie nadchodzi. Następnie puścił się polem, chowając się od czasu do czasu za krzakami, zatoczył szeroki łuk i dotarł do leśnej przecinki. Tu wśród drzew i krzewów czuł się bezpieczny. Lekkim truchtem dotarł do skraju lasu, gdzie zaszył się w wysokich paprociach. Umościwszy się wygodnie, zaczął popatrywać w stronę niedalekiego podgrodzia. Paprocie mile chłodziły, leśne kwiaty wydzielaly odurzający zapach, wiatr lekko poruszał koronami drzew. Zmęczony i ukojony ciszą, nawet się nie spostrzegł, kiedy przysnął. Gdy się obudził, w jednej chwili oprzytomniał i poderwał się na nogi, gotów do ucieczki. Ale wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Nie słyhać było odgłosów pogoni, nikt go nie tropił, nie puszczał psów jego śladem. Legł z powrotem w gęstwinie paproci, kładąc obolały łeb na mchowej podściółce. Słońce przechylało się powoli na zachodnią stronę. Nie pozostało mu nic innego, jak cierpliwie czekać nadejścia wieczoru. Dopiero pod osłoną nocy odważył się opuścić kryjówkę i spróbuje przekraść się do grodu. Wiele by dał, żeby znaleźć się znowu w cieniu świętego *Duira!* Chrząknął dla dodania sobie animuszu, starając się odgonić mroczne myśli. Cokolwiek się wydarzy, dzisiejsza noc przynieść winna rozstrzygnięcie.

* * *

Skuba szedł obok wozu i rozglądał się czujnie, upewniając się, że nikt za nim nie idzie. Wół pewnie podążał znajomą trasą, omijając w ciemności doły i kamienie. Posłuszny lejcom w rękach woźnicy, za leśną przecinką skręcił w prawo, obszedł szerokim łukiem podgrodzie i ruszył brzegiem rzeki. Zaraz za skałkami Skuba zatrzymał wóz. Prawie niezauważalnie, kilkoma wprawnymi ruchami przeciął postronki, którymi uprzednio przywiązał zwinięte skóry do boku wozu -skórzany pakunek spadł na ziemię. Następnie wszedł na wóz po wypchaną siarką owcę; przesadnie długo mocował się z ciężarem, by widzowie obserwujący z wałów jego poczynania mogli mu się dobrze przyjrzeć. Zrzucił owcę na ziemię, tuż obok pozszywanych skór, celowo czyniąc przy tym sporo hałasu. Wypchana siarką i flakami, owca wyglądała nader okazale. Prawda, szkoda było marnować tyle dobrej wełny, ale co zrobić, skoro wieprzek zniknął? Miał rację Chościsko, kiedy nazwał bydlę czarcim pomiotem! No bo jak wytłumaczyć jego zniknięcie? Tfu! Skuba splunął trzy razy przez lewe ramię i szybko potarł amulet, który podarowała mu Boguwola. Nie musiał długo czekać. Schowany w woreczku smoczy pazur emanował dziwnym ciepłem, które rozeszło mu się po całym ciele, napełniając go nie znanym dawniej poczuciem siły. Nie tracąc więcej czasu, skropił przynętę zebraną wcześniej krwią owcy, zawrócił wołu, wsiadł na wóz i odjechał.

Noc była pogodna, ale na niebie zaczęły już gromadzić się chmury. Zbierało się na letnią burzę.

Boguwola wsunęła się do jamy.

- Gotowe. Możesz ruszać.

- Jesteś pewna, że to nie pułapka? Dlaczego wybrał właśnie Smoczą Jamę?

- Skuba nie zdradzi. Poznał moc smoczego amuletu.

Krak wytoczył się niezdarne z pieczary. Rana na szyi wciąż mu doskwierała. Wzdrygnął się na wspomnienie mieczy i toporów, rozejrzył niepewnie. W otaczającej go ciemności skałki podobne były do czających się wojów. Pokonując strach nadał się, wypuścił z pyska ognisty obłok i pokolebał się tam, skąd dolatywał zapach krwi. Kiedy odnalazł owcę, ryknął przeciągle. Obszedł zdobycz, zaryczał jeszcze raz, najgłośniej jak potrafił. Wałąc ogonem o ziemię chwycił owcę w pysk, potem jeszcze złapał delikatnie zębami skórzany pakunek i powrócił niespiesznie do pieczary. Złożył skóry i wypluł owcę.

- Obrzydliwość! - wychrypiał.

- Nic dziwnego - Boguwola zaśmiała się mimo woli - tyle siarki nawet smokowi nie mogłoby wyjść na dobre. No, bierzmy się do roboty.

Przy świetle łuczywa rozłożyła pozszywane przez Skubę skóry. Przyciągnęła z kąta pieczary toból z podrobami, który przyniosła wczorajszej nocy, i zaczęła pakować do środka skórzanego wora zawierające trzewia, nerki, płuca i wątroby. Uporowała się z tym szybko.

- Twoja kolej - oznajmiła. Umieściła wąski, wydłużony koniec skórzanego wora w pysku smoka. - Dmuchaaj, tylko ostrożnie, żeby go nie przepełnić.

Boguwola podtrzymywała cienką końcówkę, a Krak, nie spiesząc się, napełniał go ognistym oddechem. Skóry poruszyły się, zafalowały. Duży skórzany worek rósł z każdym smoczym tchnieniem, powoli nabierał kształtów, podobny do olbrzymiego pęcherza zaczął wypełniać pieczarę. Boguwola pilnie śledziła, jak rośnie.

- Starczy! - zawołała, - Przewiązała koniec wora długim powrozem, mocno ściągnęła wiązanie. - Nie ruszaj się stąd. Czekaj na mój znak - przypomniała.

Trzymając powróż w ręce, wysunęła głowę z jamy. Noc była ciemna, burzowe chmury kotłowały się na niebie. Odczekała jeszcze trochę, po czym zgięta w pół wymknęła się na zewnątrz, ciągnąc za sobą monstrualnych rozmiarów kształt. Skierowała się najkrótszą drogą ku rzece.

* * *

Mojśław z wysokości ostrokołu wypatrywał niecierpliwie, co dzieje się przy Smocznej Jamie. Rokityna stała obok, posykurując z niezadowolenia: któryś ze strażników (kto wie, może sam Skuba?) musiał rozpuścić wieść o owcy podłożonej przez szewca, bo na wałach podgrodzia zdążył się już zgromadzić spory tłum. Bezpiecznie oddaleni od rzeki, ludzie wytężali wzrok w ciemności, pilnie nasłuchując każdego szelestu i śledząc każdy podejrzany cień.

Nagle przez wały podgrodzia przetoczył się szmer przejętych głosów. Ktoś krzyknął w przestraszu, ktoś inny lękliwie zawołał, by się uspokoić. Na powrót zaległa cisza. Wszyscy patrzyli, jak od skarpy ze Smoczą Jamą odrywa się potężny kształt i o ciężale toczy ku brzegowi. Rozległo się głucho porykiwanie, cichsze jednak niż przedtem, zakończone przeciągłym jękiem. Woda w rzece zabulgotała. Słychać było teraz głośne siorbanie, od czasu do czasu przerywane bolesnym postękiwaniem. Widzów na podgrodziu przybywało, a smok wciąż pił. Przyszli wieśniacy z osady przy podgrodziu, kniejarze z przyleśnej kolonii, rybacy z chat nad rzeką. Mimo nocnej pory wieść szybko się rozchodziła. Przybywali uzbrojeni w widły, sierpy, oszczepy, noże i siekiery, i ukryci w bezpiecznych kryjówkach chłonęli w milczeniu pełne grozy widowisko.

Noc wydawała się nie mieć końca. Smok pił jak opętany, księżyc z rzadka wychylał się zza zasłony chmur, rzeka cicho toczyła swój nurt. Nieoczekiwanie zerwał się wiatr. Zaszumiało potężnie, drzewa poruszyły się jak na rozkaz. W oddali przetoczył się grzmot, zaraz potem czarne niebo na wschodzie przecięła pierwsza błyskawica. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, wypatrując nowego zagrożenia. Zagrzmiało ponownie i zaraz potem, niczym echo grzmotu, rozległ się huk. Ci, którzy zdążyli odwrócić głowy, ujrzeli, jak smocze cielsko rozpada się na kawałki. Ciemna napęczniała bryła pękła w mgnieniu oka niczym olbrzymi pęcherz, wyrzucając w górę ognistą lawę szczątków. Wszystko potoczyło się tak szybko, że część widzów nie od razu pojęła, co się wydarzyło.

- Smok padł! - krzyknął ktoś od strony rzeki. Na to zawołanie niczym na umówiony sygnał zapłonęły dziesiątki pochodni. Rozżarzone światłem wały jakby ożyły. Rozradowany tłum, machając łuczycami, ruszył ku brzegowi, skandując:

- Skuba! Wiwat Skuba! Rokityna parsknęła gniewnie.

- Powinieneś pierwszy być na miejscu! - skarciła męża. - Słyszysz, co się dzieje? Jak się nie pospieszysz, Skuba zyska w nagrodę więcej niż smoczą skórę!

Mojśław przyznał jej w duchu rację. Spojrzał w dół, wymacał nogą szczebel drabiny, z przyzwyczajenia zerknął w stronę świętego dębu. Raptem niebo przecięła kolejna błyskawica i w jej świetle Mojśław dojrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

- Przeklęty Chościsko! - ryknął.

Zsunął się po drabinie, o mało nie łamiąc przy tym nóg. Ledwo stanął na ziemi, chwycił miecz w obie ręce i potykając się o kamienie, pognął w stronę dębu. Rokityna, niewiele myśląc, poszła jego śladem. Tymczasem burza przybrała na sile. Kiedy niebo rozjaśniła nowa błyskawica, oboje ujrzeli wychudłą świnię, która machając zaciekłe przednimi racicami próbowała zrobić podkop pod ogrodzeniem chroniącym Dobrostoja.

- Myrddin? - wyjąkała Rokityna, spoglądając na męża w oszołomieniu. Jęknął tylko, podniósł miecz jak do ciosu i doskoczył do zaklętego maga. Wieprz rzucił się do ucieczki, ale Rokityna już zagradzała mu drogę, machając na oślep nożem, z rozwianymi włosami, z grymasem wściekłości na twarzy.

Myrddin zakwiczał przeraźliwie, żegnając się z życiem. Mojśław zniżył miecz, jakby chciał nadziać wieprza na ostrze, gdy wtem silny podmuch powietrza rzucił go na ziemię. Pozbierał się szybko i na klęczkach jeszcze obejrzał się przez ramię. Nie dalej jak dziesięć kroków od niego stał Krak. Składał już błoniaste skrzydła i dyszał ciężko po locie, przestępując z nogi na nogę, wyraźnie zaskoczony obecnością książęcej pary. Choć przewyższał Mojśława co najmniej o trzy wysokości, nie kwapił się do ataku. Zagrzmiało, piorun uderzył gdzieś niedaleko.

- Stój spokojnie, nic się nam nie stanie. - Rokityna kryła się za plecami męża i szeptała mu do ucha: - Wyowiedziałam zaklęcie ściągające piorun. Ten, kogo nie chroni amulet Swarozycy...

Nie zdążyła dokończyć. Z nieba spadła zygzakowata luna, z hukiem pioruna uderzyła w święty dąb, odłamała konar drzewa, po czym zmieniając kierunek trafiła księcia. Padł bez życia na ziemię, a wraz z nim trzymająca się go kurczowo Rokityna.

Wiatr uniósł konar dębu. Krak pochwycił gałąź w pysk, nie pozwalając, by zaczarowana jemioła zetknęła się z ziemią. W tejże chwili dało się słyszeć radosne kwiczenie. W świetle kolejnej błyskawicy można było dojrzeć, jak potężne smoczysko stoi cierpliwie i wyciąga długą szyję ku świni, która śmiesznie podskakując stara się pochwycić krzewinkę jemioły z gałęzi wystającej ze smoczego pyska.

Zdawać by się mogło, że dziwnym wydarzeniom tej nocy nie będzie nigdy końca. Kiedy rozkrzyczany tłum, tego pijąc i zajadając, cieszył się w najlepsze ze zwycięstwa nad smokiem, jeden ze strażników przyniósł zatrważającą wieść o śmierci księżęcej pary. Przybiegli znad rzeki całą gromadą, nie wypuszczając z rąk kielichów i pieczystego. Mojsław i Rokityna leżeli pod świętym dębem, wciąż spleceni ze sobą. Piorun nie pozostawił na ciele księcia widocznych śladów. Dopiero Dziadoszyn po dokładniejszych oględzinach odkrył na piersi Mojsława strzaskany amulet. Tam też musiał razić go grom, który oboje pozbawił życia.

Ludzie nie zdążyli się jeszcze nadziwić tak nieszczęśliwemu zrządzeniu losu, gdy u wałów podgrodzia stanęła dwójka niespodziewanych wędrowców. Nie od razu rozpoznano w nich Kraka i cudzoziemskiego maga Myrddina; mocno znużeni, brudni, w postrzępionym odzieniu, powracali z nieudanej wyprawy. Z opowiadania Kraka wynikało, że piątego dnia podróży burza przychwyciła ich na środku rzeki. Cudem tylko uszli z życiem. Straciwszy łódź i broń, postanowili zawrócić. Całą drogę do grodu odbyli pieszo, żywiąc się jagodami i rybami.

Obaj ślaniał się na nogach. Ledwo wysłuchawszy opowieści o smoku i śmierci księżęcej pary, ułożyli się do snu i spali twardo aż do następnego ranka. Na pogrzebie Mojsława i Rokityny książe Krak pojawił się z Boguwolą u boku, słowem i zachowaniem okazując jej względy. Jej też przypadło w udziale podpalenie grzebalnego stosu i dla wszystkich stało się oczywiste, że w osobie Boguwoli widzą przyszłą małżonkę nowego księcia.

Mag Myrddin z rzadka tylko opuszczał swą komnatę. Spieszno mu ponoć było wracać do ojczystej Brytanii, kiedy więc Zyndram z polecenia księcia Kraka wyruszył z poselstwem do władcy Wioletów, Myrddin przyłączył się do jego orszaku. Strażnicy szeptali potem, że noc przed wyjazdem czarnoksiężnik spędził samotnie pod świętym dębem, a odchodząc zabrał ze sobą gałązkę jemioły.

Wydarzenia ostatnich dni największą odmianę przyniosły szewcowi Skubie. Jako pogromca smoka cieszył się zasłużonym mirem u pobratymców, a i książe Krak nie szczędził mu dowodów swej przychylności. Spełniając obietnicę daną Skubie jeszcze przez Mojsława, Krak pod groźbą surowej kary przykazał, by każdy skrawek smoczey skóry trafił w ręce Skuby. Trzeba przyznać, że szewc zrobił z tego podarunku dobry użytek. Trzewiki ze skóry smoka osiągały wysoką cenę, a przysyłano po nie zamówienia z krajów tak odległych, jak ziemia Galów czy państwo rzymskie. Byli rzecz jasna i tacy, a nie brakowało ich zwłaszcza wśród księżęcych drużynników, którzy, najpewniej z zawiści, rozpuszczali plotki podające w wątpliwość zasługi Skuby. Niektórzy ważyli się nawet twierdzić, że i skóra smoka była jakaś dziwna, jak gdyby nie od bestii pochodziła. W takich chwilach szewc dobywał z kaptorga na piersiach zakrzywiony pazur, ostry i twardy jak żelazo. Mijały lata, a pazur nie stracił nic ze swej ostrości i wciąż promieniał dziwnym ogniem. Smoczy pazur, powiadał uczenie Skuba, zawsze emanuje ciepłem, bo ogień smoczym jest żywiołem. Ale, dodawał zaraz ochoczo, jest inny żywioł, którym można zwalczyć ogień – woda.

I mówiąc to, uśmiechał się tajemniczo.

Grzegorz Gortat